

Jeszcze o Wenclowym czytaniu Wierzyńskiego

Ireneusz Staroń

Za czym ja krążę?
Za Księżycem.
Czym on mnie wabi?
Drohobyczem.
[...]

A poza snem tym
Co się chowa?
Ach, ziemia, ziemia
Księżycowa.

Kazimierz Wierzyński, *Księżyc*

Wojciech Wencel: *Wierzyński: Sens ponad klęską. Biografia poety.*
Instytut Literatury, Kraków 2020, s. 368.

Zawsze podchodzę ze szczególnym sentymentem, ale i z drżeniem do książek, które prowadzą swoimi arkuszami do „tej prowincji osobliwej”; czasem do gwaru, a niekiedy do ciszy cyfrowej prozy, do Wielkiego Księstwa Bałaku; do tego pachnącego akacjami podnóża Karpat, gdzie miał przybyć Mesjasz. I przybył, bo – jak czytamy w *Genialnej epoce* – zgubiła mu się „w oczach granica, niebieskawe pasma obłoków” podłożyły się „przejściem”. A On sam zszedłszy na ziemię, zadumany, niczego nie zauważył, a potem... Potem zawsze jest jakby proroctwo, jakby ostrzeżenie: „ludzie obudzą się z popołudniowej drzemki i nie będą nic pamiętali”. A On? Powróci tam wyżej. „Cała historia będzie jak wymazana i będzie jak za prawieków, nim zaczęły się dzieje”. I może dlatego wychodzę z takiej na poły ziemskiej, na poły niebiańskiej krainy piszą życiowe strofy dzieje wielobarwnymi, choć często gorzkimi czcionkami.

Książki o postaciach z „prowincji osobliwej”... Prowadzą tam, bo przecież, bo stamtąd... Nieopodal Drohobycza, we wsi Rychci- ce 11 listopada 1921 roku urodził się mój dziadek – Józef Jach. W czasie służby w AK przyjął pseudonim Ryś. Kiedy po powrocie z tamtej krainy, letnim popołudniem 2010 roku, podczas ostatniej z nim rozmowy opowiadałem o dzisiejszych drohobyckich akacjach,

miał powiedzieć: „ano był taki Schulz”. Nie wiem, na ile moja imaginacja sama podpowiedziała ten epizod, na ile był on rzeczywisty, niemniej nauczyciela tamtejszego gimnazjum dziadek mógł kojarzyć. Znać z widzenia. Może gdzieś spotkać na ulicy. I niewiele więcej. Jak to na prowincji, tego i owego kojarzyło się, wymieniało choć zdawkowe ukłony. Inaczej z Kazimierzem Wierzyńskim. Poetę z drohobyckich okolic dość prędko zabrał wielki świat. Oddał dopiero po latach, przywrócił w książkach, choć w „prowincji osobliwej” i „mieście jednym na świecie” już prawie z nikim się spotkać nie mógł. Przesunięto busolę granic, więc i ja rozmawiałem z dziadkiem na tych nowych, zachodnich, „Kresach”. W dziadkowym profilu, w obliczu znaczącym orlim nosem rzymskich cesarzy nie dostrzegałem wtedy jeszcze spiżowych kształtów dwudziestolecia. I frazy „sens ponad klęską”. Sens.

Wierzyński. Sens ponad klęską Wojciecha Wencła to niezwykle ważna opowieść nie tylko o tytułowym poecie, lecz także o niezłomnej emigracji, którą on wraz z Janem Lechoniem oraz Ignacym Matuszewskim niemal uosabiali. O tej emigracji, która nigdy – w przeciwieństwie do paryskiej „Kultury” – nie pogodziła się z utratą Wilna i Lwowa. Sta- wiała zawsze na walkę z sowiecką okupacją,

nie zaś na próby reformy systemu. Był w tym przecież i jakiś rys Mackiewiczowski, bezkompromisowość posunięta do granic, siła duchowa, przy której serwilizm Juliana Tuwima i manewry Czesława Miłosza zamieniały się w tragifarsę. Niósł Kazimierz Wierzyński w sobie powagę etosu słowa, którym karmiono się jak chlebem, kiedy zarówno chleba, jak i ojczyzny brakowało. II wojna światowa uczyniła zeń dowódcę niezliczonych hufców, których bolączki i pragnienia umiał twórca zamknąć w poetyckich strofach. Już w listopadzie 1939 roku w pierwszym numerze drukowanego w Paryżu czasopisma „Głos Polski” ukazał się poemat *Via Appia*. W nim głosem żołnierza przemawiały m. in. następujące wersy:

Bijemy się o cały świat,
Biją się polskie pułki
O Nike Samotracką,
O stare ateńskie zaułki,
O tysiące minionych lat.
O Akropol i Kapitol,
O Grecję i Rzym
Uderza ułańskie kopyto,
Artyleryjski dym.

Wiersze z emigracyjnych tomów *Ziemia-Wilczyca* (1941), *Róża wiatrów* (1942) oraz *Krzyże i miecze* (1946) z grona współczesnych to właśnie Wierzyńskiemu – co mocno podkreśla Wencel – pozwoliły stać się duchowym przywódcą polskich żołnierzy.

Sens ponad klęską. Biografia poety stanowi znakomity przykład pisania o literaturze, które jest zarówno wdzięczne, jak i nienaganne pod względem warsztatu. Czytelników decydujących się sięgnąć po monografię czeka zatem niemała lekturowa przyjemność – bo tej autor nikomu nie poskąpi – ale i podróż w rejony polszczyzny eleganckiej, zdolnej specjalistyczne treści objaśniać w sposób dla odbiorcy przystępny. Cóż tu rzec? Wencłową opowieść o wybitnym poecie urodzonym

na dworcu kolejowym w Drohobyczu czyta się niczym najlepszą powieść ze szkoły eseizowanej prozy, która swą erudycją niktogo nie zawstydza. Przeciwnie – zachęca do rozmowy, do wejścia w świat Wierzyńskiego z pełnią pasji i zaangażowania, w świat ten również mniej znany, bo nie skamandrycki, a naznaczony gorzkim piętnem powojennej emigracji. Do tego wreszcie zachęca, aby i w sobie odnaleźć powinowactwa ze sztukmistrzem słowa, jakąś nić porozumienia z duchem polszczyzny, w której autor *Wróble na dachu* był znakomicie osadzony, na tyle dobrze, by każdy współodczuwający z jego językiem, każdy jego użytkownik czuł się tym jedynym i szczególnym dziedzicem poety; jego bratem w lirycznych rejestrach pełnej, stroficznej frazy; jego współspiskowcem w tajnej kontrabandzie walki o polskość, która nie była jakąś abstrakcyjną, estetyczną ideą, lecz przede wszystkim organicznym rytmem mowy, oddechu, czymś, co za pomocą wyrazowej magii wybiera właśnie nas i do siebie zachęca. Poeta bowiem „Tak głęboko sięgnął w ducha języka, tak zlał się z nim bez reszty, że potok jego słów natchnionych wyrzuca się w kształty jakby preformowane, w sobowtórne kształty przysłowi i zwrotów ludowych” – pisał Bruno Schulz w „Tygodniku Ilustrowanym” (1936, nr 27) o wydanym w 1936 roku tomie *Wolność tragiczna*. Dodawał jeszcze: „Tylko wiersz Mickiewicza ma tę powszechność w sobie, jest tak naturalnie urosły, tak z głębin idiomu polskiego poczęty i tak monumentalny”. Ten poświęcony Józefowi Piłsudskiemu cykl (wydany w rok po jego śmierci) nazwał zresztą Wencel „pierwszym arcydziełem w dorobku Wierzyńskiego”. Była bowiem w *Wolności tragicznej* esencja eposu, zamknięty w litery duch epoki, nad którą unosiła się tradycja powstania styczniowego; epopeiczny szlak wiodący od drużyn strzeleckich, poprzez Legiony, wojnę z bolszewikami, śmierć prezydenta Narutowicza,

wycofanie się Marszałka do Sulejówka, późniejszy zamach majowy i sanacyjne rządy. Akordy, w które uderzył Wierzyński, miały jeszcze posmak autentyku. Końcowe słowa – „Skazuję was na wielkość. Bez niej zewsząd zguba” – uznano przecież za prawdziwą wypowiedź Piłsudskiego – herosa przybywającego do współczesnych niemal wprost ze stycziowej insurekcji:

Bobruje wiatr po borach, śnieg linieje
w lesie,
Poszycie pęka szparą, skrzypi łomkim
chrustem,
Ostatni strzał się długo w mgle wilgotnej
niesie
I głuchą śmiercią w sercu pohukuje pustem.

Tak brzmiały początkowe słowa *Klechdy z Wolności tragicznej*. Tak mógłby rozpocząć się nowy epos, takimi liniami zakreślał swe ambicje także Jan Lechoń w *Karmazynowym poemacie*. Tak mógłby pisać Florian Czarnyszewicz, gdyby za miarę epopei *Nadberezyńcy* wybrał nie długi oddech prozy, lecz wers z jego poetycką dramaturgią. Zachowując oczywiście miarę, by nie być posądzonym o zbyt łatwe snucie paraleli, po przeczytaniu podobnych strof objawia się w myśli jedno. A to mianowicie, że takiej opowieści o Wierzyńskim nie mógłby snuć autor nie będący poetą. Podskórnie wyczuwamy ową wdzięczną fascynację. Ale nawet nie chodzi o to, iż sam Wencel para się pisaniem wierszy. Wszak nie o wybór gatunku toczy się gra, lecz właśnie o tę szczególną umiejętność sytuowania się w słowie, w słowie namacalnym, wyraźnym z nieprzeciętnej biografii; w mowie głębszego widzenia i odczuwania. Trudno też nie odnieść wrażenia, że spisujący dzieje życia oraz twórczości sam także niezgorzej odnajduje się w uniwersum Wierzyńskiego. Już bowiem u zarania obu poetów łączy nieoczywista genealogia, owa ginąca w pomroce

dziejów (choć u poety z Galicji wcale nie aż tak dawno) polskość z wyboru, która była udziałem ich niemieckojęzycznych antenatów. Ten – jak się okazało – iście dziejowy wybór musiał przecież dotknąć jakichś najgłębszych, archetypowych pokładów ichniej osobowości. I w istocie ukonstytuował nie tylko osobistą legendę (zresztą wcale nie legendarną, bo prawdziwą), lecz także pewien sposób odczuwania, tudzież nad-odczuwania, nad-przeżywania tego wybranego, które mogło wszelako być inne, a przyszło i zakorzeniło w sobie w dwójnasób. Był to los nie tylko Wirstleinów, którzy z niemieckich kolonizatorów w ciągu XIX wieku przestoczyli się w Polaków, ale i wielu innych oddających później niemałe usługi swej nowej ojczyźnie. Nie przypadkiem to właśnie syn urzędnika austriackiej administracji – Wincenty Pol – napisał *Pieśń o ziemi naszej*, choć jeszcze jego ojciec nazwałby tak zupełnie inną krainę.

I jak w klasycznej monografii od tych zamierzchłych preludiiw rozpoczyna Wencel tę opowieść. Aby bowiem wszystkie akordy tu wybrzmiały, musimy naszą uwagę skierować w stronę roku 1780, kiedy to Józef II Habsburg wydał patent kolonizacyjny, na mocy którego z Rzeszy Niemieckiej zaczęli napływać do Galicji kolejni osadnicy. Różne były ich dzieje. Mieli podnosić zapóźnioną gospodarkę niedawno przyłączonej austriackiej prowincji oraz wzmacniać żywioł niemiecki na rubieżach imperium. W praktyce bywało różnie, gdyż u zarania miast tak potrzebnych ekonomice kupców i rzemieślników w podróż na Wschód udawali się raczej zubożali chłopci. Również i plany germanizacyjne nie do końca przebiegały tak, jakby życzyli sobie tego wiedeńscy monarchowie. Ci, którzy mieli promieniować niemieckością, w wielu wypadkach się polonizowali oraz rychło dołączali do kolejnych zastępów powstańców. Wencel w *Prologu* śledzi te meandry z dużym znawstwem, choć to jedynie

tło dla późniejszych rozważań. Tak na karty opowieści trafiają i Wirstleinowie – poddani ożenionego z polską księżną Anną Agnieszką z Sapiechów hrabiego Józefa Miera. I tak w latach sześćdziesiątych XIX wieku Andrzej Wirstlein – późniejszy ojciec Kazimierza – rezygnując z możliwości powrotu do Rzeszy, wiąże ostatecznie losy swych przyszłych potomków z Galicją Wschodnią.

Jest coś wielce symbolicznego w tym, że „gdzieś w zaraniu dzieciństwa, o pierwszym świecie życia” – by posłużyć się fragmentem z Schulzowskiej *Księgi* – los związał przyszłego poetę Wierzyńskiego z drogą żelazną. A właśnie kończył się wiek pary i elektryczności (przynajmniej formalnie, bo faktyczny kres położyła mu I wojna światowa), Kazimierz Wirstlein bowiem narodził się 27 sierpnia 1894 roku na drohobyckim dworcu. Jego ojciec już wówczas pracował wszakże w Cesarsko-Królewskich Kolejach Państwowych, które pod koniec wieku stopniowo przejmowały prywatne linie arystokratów, takie jak: Kolej Galicyjska Karola Ludwika (relacja Przemyśl–Lwów otwarta w 1861 roku) czy też Kolej Dniestrzańska (Chyrów–Sambor–Drohobycz – a stamtąd również Borysław–Stryj, utworzona w 1872 roku). To właśnie u Karola Ludwika w 1875 roku zaczęła się przygoda Andrzeja Wirstleina z pociągami, która później stała się także udziałem jego syna. Tak zatem najmłodsze dziecko spolonizowanego urzędnika dróg żelaznych i polskiej szlachcianki Felicji Dunin-Wąsowicz wkroczyło w galicyjski świat na rozstaju tychże dróg. I zresztą z konsekwencją żelazną (zupełnie jak te drogi mieniące się cesarsko-królewskimi barwami solidnej punktualności, potęgi oraz imperialnej mocy) podkreślał później Kazimierz Wierzyński to iście koczownicze zrządzenie losu. Już bowiem jego dzieciństwo przeszło „na stacjach o różnych nazwach”, niejako bez adresu i „potoczyło się rozwłócone po lesistych

stokach wschodnich Karpat”, jak pisał po latach w swoim pamiętniku.

Ach, ten wiek XIX! Ustępujący z wolna pola jeszcze późniejszej nowoczesności; wiek wymierzany, odmierzany stukotem parowozowych kół, opasłych lokomobili o barwie najprawdziwszej czerni, czerni międzyplanetarnej i dzikiej, pachnącej nowością, nęcącej błyskiem żelaza, wabiącej siłą metalowych mięśni, niewidzialnych koni skrytych w zębatkach turbin, w pompach i w piecach pożerających tony najczarniejszego węgla, gorzkiego niczym sól ziemi – tej pamiętki po galicyjskich borach. Wiek tryskającej z szymbów Drohobycza i Borysławia ropy; czas płonącej rzeki Tyśmienicy, po której wodach ta ropa płynęła (te obrazy „piekła galicyjskiego” zapisane później przez Andrzeja Chciuka, Stanisława Antoniego Muellera, Ferdynanda Ossendowskiego...). I trawiona ogniem rzeka płonęła. Lecz teraz nie o tym. Bo gdzieś w zakamarkach tamtej burzy rodził się nieprzeciętny poetycki umysł. Jeśli bowiem chcieliśmy nadążyć za Wenclową opowieścią, to prawie się to nam udało, choć przecież na rozsianych po tamtej krainie kresowych literackich dworcach łatwo pomylić drogę, a wsiadłszy raz do niewłaściwego pociągu, można przegrać z kretesem całą gawędę, lądując później w którymś z Sanatoriów pod Klepsydrą. Albo lepiej w genialnej epoce. „Na miłość boską, czyżby nie istniał tu pewnego rodzaju ażiotaż biletów na czas?” I tak ciągną się te pociągi pod specjalnym nadzorem, a po tych samych torach w różne strony wciąż jadą, wciąż jadą w znoszonym mundurze kolejarza, trzymając w ręku konduktorską czapkę, Bruno Schulz i Kazimierz Wierzyński. Ci dwaj, ale i wielu innych. Przechodzą z wagonu do wagonu, a gdzieś w tle świat nastraja się melodią „Daisy, Daisy, ty mi odpowiedź daj”, nutami kończącej się raz i wiecznie *belle époque*. I nie dziwota, że i myśmy coś na trasie omyłkowo przegapili, chcąc dać czytelnikowi

wyobrażenie miejsc i czasów nie tak odległych. Ale nic to, rezygnując z herezji parafrazy, wróćmy na stację, na której w amplitudę stukotu kół raz po raz włącza się miarowy bas starego zegara. Zaczytując się w pamiętnikach Wierzyńskiego, lecz także wertując strofy (albo na odwrót) wierszy *Dworzec* oraz *Oda prowincjonalna*, Wencel pisze o pierwszym świecie życia znakomitego poety.

Kiedy ojciec, który „nosił na kołnierzu trzy złote gwiazdki jak kapitan w wojsku” [...] segregował dokumenty wewnątrz stacyjnego budynku, najmłodszy z Wirstleinów wymykał się na torry, którymi nie wiadomo „dokąd można zejść”, czuł zapach dymu parowozowego i impregnatu do podkładów kolejowych, podziwiał rampy podnoszące się „jak tajemnicze, żegnające duchy”, starał się zapamiętać znaki semaforów. A gdy zapadała noc, cały ten mikrokosmos odzwierciedlał w dziecięcych snach. Dla wrażliwego chłopca to rzeczywistość rozstań i powrotów, „panien, co tęsknią z pustego peronu” i lustrowania obcych twarzy w oknach wagonu. [...] Emocje piętrzące się w ograniczonej przestrzeni rodziły melancholię i marzenie o dalekiej podróży. A jednocześnie wyostrzały obraz kresowych miasteczek, gdzie „uliczki, rynek, plebania pobożna – / I tylko jedno jest zdarzenie: dworzec”.

Jest w tym i rzetelność obrazów, i wierność liryczno-wspomnieniowej literze. Ale też tak spisuje te dzieje Wencel. Z nietajoną powagą dla stylu oraz w duchu takim, jakim mógłby to czynić Wierzyński. Zresztą – dworzec, dworzec... W jego to okolicach czuł się galicyjski poeta w dzieciństwie i we wczesnej młodości najlepiej. Jemu to zawdzięczał dostęp do obrazów dla tych, którzy nie mogli z łatwością podróżować, nieznanym, choćby

i ta podróż była tylko wędrówką za miedzę – z Drohobycza do Stryja, do Sambora i Chyrowa, Borysławia, do Truskawca. A w miarę, jak dorastał, stawał się ów Truskawiec Lwowem, Krakowem, Wiedniem, Warszawą, by po latach zmienić się w Nowy Jork w nowym świecie. W swym dojrzałym życiu, dopiero tam, jak na ironię, udało się Kazimierzowi wraz z drugą żoną Haliną osiąść na dłużej. W miasteczku Sag Harbor – zwanym przez polskich emigrantów Harborowem – na Long Island małżeństwo spędziło dziesięć lat. Wówczas drewniany dom z końca XVIII wieku stał się jakby polskim dworem. Ale wten czas w myślach krążyły te same a odmienne pociągi pod specjalnym nadzorem wyobraźni, odkryte u zarania w Galicji. Bo choć urodził się w Drohobyczu, nie mieszkał tam stale. Jego ojciec niebawem został naczelnikiem stacji w Sądowej Wiszni, później w Posadzie Chyrowskiej... Była zatem młodość Wirstleina także czasem rozlicznych przeprowadzek, przenosin z jednego stacyjnego domu do drugiego, zupełnie tak, jakby to nie przyszli Wierzyńscy zmieniali adresy, lecz ich dom rozrastał się wzdłuż torów niczym powój, anektując nowe obszary, tworząc następne pokoje w zaciszu dworców i semaforów. A wszystko to w scenerii iście nęcącej imaginację każdego urwisa, a takim być musiał i młody Kazio. W czasie swych licznych peregrynacji z okna wagonu widział w oddali setki wież wiertniczych tutejszego zagłębia naftowego, świat – co podkreśla Wencel – niczym z płócien Hieronima Boscha. Bogato iluminowany płonącymi oparami gazu ziemnego, podziurawiony kraterami na wpół dzikich szybów, w których „czarnym złocie” ginęli nieostrożni. Świat kałuż pełnych ciemnej brei, którą zbierali lebaczy, maczając w cieczy włosie końskich ogonów. Ziemia księżycowa. Tak zwał ją Wierzyński. Za drohobyckim dworcem powstawała właśnie największa w dziejach rafineria, znana później jako Państwowa

Fabryka Olejów Mineralnych „Polmin”. Ulica Stryjska przeistaczała się w ulicę Krokodyli, potworniejąc w oczach szybko skleconymi elewacjami, jakby przeniesionymi ze szpalt zeszłorocznych gazet. Galicyjska ziemia obiecana, „pasożytnicza dzielnica” rosnąca na rubieżach starego miasta. „Wadliwe, mętne i brudne szyby, łamiące w falistych refleksach ciemne odbicie ulicy, nie heblowane drzewo portali, szara atmosfera jałowych tych wnętrz, osiadających pajęczyną i kłakami kurzu na wysokich półkach i wzdłuż odartych i kruszących się ścian, wyciskały tu, na sklepach, piętno dzikiego Klondike’u” – by sięgnąć do kart cynamonowej prozy. Niedaleko zaś wyjeżdżało się do wód, do pobliskiego Truskawca, by czerpać ze źródeł Marii i Naftusi. Kiedy młody Kazimierz skończył dwanaście lat, w Samborze miejscowy „Sokół” przygotowywał z wielką pompą uroczystość rocznicową grunwaldzkiej bitwy, kiedy zaś los i kolejne perypetie jego ojca rzuciły późniejszego poetę do Stryja (i tamtejszego gimnazjum), rozpoznał w nowym miejscu prawdziwe miasto ogrodów, w którym kasztany i lipy rysowały swą zielenią na tle zielonych lasów Karpat. Czytał w ich cieniu Hamsuna, D’Annunzia, Wyspiańskiego, Żeromskiego... Wraz z kolejnymi wersetami przemierzał także górskie szlaki, do których prowadziły stryjskie szpalery drzew. Przeskakując z kamienia na kamień, wylawiał z pamięci strofy Staffa, którego dziełem zappełniał krótkie letnie noce, którego wiersze z lubością recytował z pamięci. Aby zaś kupić ukochaną przez się *Galą ż kwitnącą*, podkraść nawet matce trzy korony... I futbol, futbol, futbol! Graczem – jak na przyszłego redaktora naczelnego „Przeglądu Sportowego” (1926–1931) – był zagorzałym, w środowisku cenionym. Nic dziwnego, że po latach (w 1928 roku) zdobył dla Polski złoty medal na Igrzyskach w Amsterdamie, choć nagrodę przyznano mu nie za zwycięstwo sportowe, lecz literackie. Jego tomik *Laur*

olimpijski okazał się wówczas zdaniem jurorów bezkonkurencyjny. Również dzięki szybkiemu tłumaczeniu na język niemiecki, którego podjął się pochodzący spod Lwowa Joseph Heinz Mischel. Tak więc tom trafił na stadion jako *Der Olympischer Lorbeer*. Zatem *kalos kagathos*. Również i tutaj Wencel skrupulatnie odsłania dziś już dość zapoznane fakty, którymi wszakże wtedy żyła nie tylko warszawska ulica, lecz także najodleglejsze zakątki kraju. 31 lipca 1928 roku to bowiem data ważna w dwójnasób. Najpierw pierwsze dla Polski olimpijskie złoto wywalczyła Halina Konopacka (rzut dyskiem). Dzień później drugie zdobył Wierzyński. Minęły dziesięciolecia i czas to nieco zaćmił i puścił w niepamięć. Konopacka została na zawsze olimpijską ikoną, olimpijską sławę Wierzyńskiego przyćmiła późniejsza totalitarna cenzura. Ale nawet i wówczas żyło to, co dla rozwoju polskiego sportu zrobił redaktor z Galicji. Wszakże to on podźwignął upadający „Przegląd”, a reformując czasopismo w 1926 roku, wymyślił plebiscyt na dziesięciu najlepszych sportowców Polski. A kolarski wyścig *Tour de Pologne*? To też inicjatywa poety, tym razem z roku 1928. A potem jeszcze... I dalej... A wcześniej i kawiarnia „Pod Pikadorem”. I *Wiosna i wino*. Wyprawa kijowska w randze podporucznika Biura Prasowego Naczelnego Dowództwa.

Lato. Rok 2010. Dojrzewający fiolet śliwek węgerek zmienia się w herb późnego popołudnia, zwielokrotniany na każdej gałęzi drzewnego baldachimu. Gdzieś za miedzą falują kłosy, morzami uwija się wiatr, pompując z górnych sfer ożywcze porywy atmosfery. W cieniu altany siedzimy z dziadkiem Józefem. Wokół defilują niewidzialne obrazy, akacje na drohobyckim rynku, górny odcinek ulicy Stryjskiej, z którego widać było dalekie forpoczty dworca kolejowego; szyby naftowe „Polminu”. I ta zielenią, ta zielenią – dojrzała córka bodiaków i łopuchów, jakby wciąż

na nowo spisywane opowiadanie *Sierpień*.
A przy Zielonej 7 mieszkali w Stryju Wierzyńscy. Dawno. „Ano był taki Schulz”. A Wierzyński? Długa to opowieść, bo w niej zamyka się epopeja naszych losów. Ostatnie skrawki Rzeczypospolitej stłoczone na huculskich brzegach Pokucia. Wrzesień 1939 roku i most nad Prutem. I słowa Mariana Hemara:

Wciąż jeszcze przed oczami mam wieczór śniatyński
Wciąż przede mną graniczny most w mroku majaczy,
Koło mnie, w samochodzie, poeta Wierzyński
Z twarzą w dłoniach. Wciąż jeszcze nie wiem, co to znaczy

A więc wojna. I emigracja. I dalej, wciąż
dalej pisane strofy. A w sercu wciąż ziemia
i ziemia księżycowa...